

Zmowa (prze)milczenia

Sylwia Izabela Schab



Duńczycy jako niewielkie liczebnie społeczeństwo wypracowali strategię przetrwania opartą na silnych więzach wewnętrznych i jedności. Ów mechanizm [...] zawiera dziesięć przykazań: „Nie myśl, że kimś jesteś”, „Nie myśl, że jesteś od nas mądrzejszy”, „Nie wmawiaj sobie, że jesteś od nas lepszy”...

Stosunek Duńczyków do „obcych”, w tym kolonialna przeszłość Danii i jej współczesne konteksty, są tematami, które dopiero w ostatnich dziesięcioleciach zyskują szersze społeczne nagłośnienie. Powodów tego zjawiska szukać można w nieuniknionej konfrontacji z „Innym”, która dla współczesnych obywateli Danii staje się doświadczeniem powszechnym. Społeczny kontekst owego wymuszonego spotkania stanowi kształtowanie się społeczeństwa wieloetnicznego, które od końca lat 60. ubiegłego wieku, gdy do kraju w stopniu dotąd niespotykanym zaczęli przybywać obcokrajowcy, stało się – trudnym do zaakceptowania – faktem, ale także koniecznością otwierania się na „obcych” w procesie integracji europejskiej i w obliczu postępującej globalizacji.

Nastawienie Duńczyków do grup napływowych, w tym restrykcyjna polityka imigracyjna i popularność populistycznej Duńskiej Partii Ludowej, proponującej odsyłanie ich

do miejsc, z których pochodzą, przypieczętowało ich zewnętrzny obraz jako narodu wysoce ksenofobicznego (takiej opinii nie potwierdzają wszakże wyniki europejskich badań wartości przeprowadzanych wśród mieszkańców Danii). Korzeni postawy niechętniej wobec tego, co pochodzi z zewnątrz, szukać można zarówno w duńskiej historii, jak i mentalności (w tym w sposobie definiowania „duńskości” i we własnym portrecie Duńczyków). Do obu z nich przynależą elementy nieekspozowane w społecznym dyskursie, czy wręcz świadomie pogrzebane na cmentarzysku narodowej pamięci, a mające istotne znaczenie dla zrozumienia współczesnego duńskiego społeczeństwa, jego mechanizmów działania i lęków.

Oprócz byłych kolonii do dziś wchodzących w skład Królestwa Danii – Grenlandii i Wysp Owczych (odpowiednio od 1979 i 1948 roku jako terytoria autonomiczne) – lista duńskich posiadłości zamorskich obejmowała Islandię (która w 1944 roku stała się niezależną republiką) oraz kolonie tropikalne w Indiach (Serampore, Tranquebar), Afryce (na Złotym Wybrzeżu, obecnie na terenie Ghany) i dzisiejsze Wyspy Dziewicze, dawne Duńskie Indie Zachodnie: Saint John, Saint Croix i Saint Thomas. Te dwa ostatnie obszary pełniły zasadniczą funkcję w tak zwanym trójkącie handlowym, którego trzeci wierzchołek stanowiło terytorium Danii właściwej (a właściwie jej największy port – Kopenhaga). Choć dzisiejsi potomkowie wikingów nie chcą tego pamiętać, Duńczycy byli szóstym narodem świata pod względem handlu niewolnikami, których w nieludzkich warunkach (wbrew późniejszym apologetycznym przedstawieniom) transportowano ze Złotego Wybrzeża na plantacje w Indiach Zachodnich, a z nich z kolei do stolicy królestwa +

płynął surowiec do produkcji cukru trzcinoowego. W kopenhaskiej architekturze do dziś widoczne są ślady duńskich „sukcesów” kolonialnych – w postaci okazałych prywatnych pałaców i dawnych budynków kompanii handlowych. O ile duński „kolonializm atlantycki” doczekał się dość skonsolidowanego „dyskursu arktycznego” w literaturze, problematyzującego stosunki między kolonizatorami i skolonizowanymi (przełomem literackim stała się bestsellerowa powieść Petera Høega Smilla w labiryntach śniegu, pol. wyd. 1996), o tyle problematyka „zbrukania” kolonialną przeszłością i winy za jej skutki w stosunku do „kolonii tropikalnych” ulega zatarciu w duńskiej świadomości społecznej.

Duńska autoidentyfikacja narodowa oparta jest na narracji o małym, sympatycznym, homogenicznym narodzie, wysoko sobie ceniącym demokrację, równouprawnienie i solidarność społeczną – również w postaci pomocy humanitarnej dla krajów Trzeciego Świata. Wiele tekstów wprowadzających do zagadnień związanych z duńskim społeczeństwem zaczyna się od stwierdzenia „mamy mały kraj i trudny język”. Odczytane jako wskazówka o ścisłej integralności terytorialnej i szczególnym trudzie związanym z próbą duńskiego szyboletu, daje ono wykładnię duńskiego samorozpoznania i postawy wobec świata. O barierze językowej (i tym samym – o istotnym kryterium identyfikacji jako „swój”) przekonał się zresztą mąż królowej Małgorzaty II, książę Henryk, Francuz, któremu do dziś nie wybacza się słyszalnego (acz nie mającego znaczenia dla zrozumiałości) akcentu w języku duńskim. Bolesnie doświadczają jej bohaterowie powieści Bronisława Świderskiego *Słowa obcego* i *Asystent śmierci* – polscy emigranci mieszkający w Danii. W obrazie

przytulnego, pokojowo nastawionego kraju i jego przyjaznych i uśmiechniętych obywateli, świadomych ekologicznie, społecznie i humanitarnie, pojawiają się jednak rysy, jeśli przywołać elementy „zapomniane”, przemilczane i wypierane ze społecznej świadomości. Dialektyka zapamiętywania i zapominania należy zresztą, jak wskazuje Michael Billig, do czołowych praktyk stosowanych w projekcie budowy państwa narodowego, a także „w banalnej reprodukcji nacjonalizmu w krajach rozwiniętych”, nie jest zatem domeną wyłącznie duńską. Tej swoistej amnezji, a właściwie polityce świadomego odsuwania niewygodnych treści, w Danii podlega między innymi jej dziedzictwo jako państwa kolonialnego. W duńskim dyskursie narodowym pielęgnuje się na przykład wiedzę o tym, że Dania – jako pierwsze państwo na świecie – zakazała handlu niewolnikami (w 1792 roku), przemilcza natomiast fakt, że niewolnictwo zostało zniesione w duńskich koloniach dopiero w 1848 roku, w dodatku jako samowolny akt ich ówczesnego gubernatora Petera von Scholtena w reakcji na bunt niewolników.

W artykule pod znaczącym tytułem *Czym jest duński rasizm?* jego autor Kim Su Rasmussen stawia tezę, że jednym z trzech najistotniejszych aspektów leżących u podstaw komentowanego przez niego zjawiska jest, obok „nowego kulturowego rasizmu” i „rasizmu zinternalizowanego”, właśnie wypieranie przeszłości kolonialnej. W duńskiej kulturze i literaturze dostrzega niesproblematyzowaną perspektywę eurocentryczną, romantyzującą nostalgię i podejście apologetyczne w odniesieniu do tego okresu w duńskiej historii, który nie przystaje do współczesnej pozytywnej narracji autoidentyfikacyjnej. Pochodną nierozliczonej przeszłości kolonialnej jest także pewien rodzaj

narodowego „zamknięcia się w sobie”, ostrożności w stosunku do (nieduńskiego) otoczenia, mentalnej samowystarczalności, które duńska badaczka postkolonialna Kirsten Thisted określa dosadnie jako „fobiczny lęk przed tym, co obce”. Duńczycy jako niewielkie liczebnie społeczeństwo wypracowali strategię przetrwania opartą na silnych więzach wewnętrznych i jedności. Ów mechanizm, określany mianem Prawa Jante, od nazwy fikcyjnej miejscowości opisanej przez norwesko-duńskiego pisarza Aksela Sandemose, zawiera dziesięć przykazań, w tym między innymi stwierdzenia: „Nie myśl, że kimś jesteś”, „Nie myśl, że jesteś od nas mądrzejszy”, „Nie wmawiaj sobie, że jesteś od nas lepszy”. Jasnym przekazem płynącym z tych sformułowań jest ulubiona mantra Duńczyków: egalitaryzm (równość rozumiana jako bycie takim samym jak pozostali członkowie grupy – nie lepszym, ale i nie gorszym), ale także nadrzędne znaczenie i siła wspólnoty, kolektywny moduł stawiania czoła problemom i zagrożeniom, duńskie *at løfte i flok* – „udźwignąć wspólnie”. Nie bez powodu duński pisarz Leif Davidsen jako tytuł swojego tekstu prezentującego Danię przed nowymi członkami Unii Europejskiej, Polakami, wybrał parafrazę fragmentu popularnej duńskiej piosenki *Ptakom najlepiej leci się w kluczu*.

Czy zatem w duńskim społeczeństwie do głosu może dojść „obcy”? Czy jego słowa są słyszalne i, przywołując klasyczne już pytanie teoretyczki postkolonializmu Gayatri Spivak, *can the subaltern speak* (czy klasy podrzędne potrafią mówić)? I wreszcie – w jakim stopniu „obcy” obecny jest w duńskich narracjach? Przegląd współczesnej duńskiej literatury daje szereg odpowiedzi na wyżej sformułowane pytania. Przede wszystkim zastanawia relatywnie niewielki udział imigrantów i ich

„niewidoczność” w duńskim życiu literackim – w roli twórców. Na listach bestsellerów trudno znaleźć pisarzy mieszkających w Danii, ale o innym niż duńskim pochodzeniu etnicznym (za to w ostatnim roku królują na nich powieści kryminalne, m.in. Duńczyka Jussiego Adlera-Olsena i szwedzkiego małżeństwa piszącego pod pseudonimem Lars Kepler). W kraju, w którym około 60 procent obywateli kupuje książki (z tego ok. połowa od 3 do 9 książek rocznie), w którym w 2011 roku odnotowano ponad 30 milionów wypożyczeń (samiych książek) z bibliotek publicznych (przy liczbie ludności wynoszącej nieco ponad 5,5 miliona), branża wydawnicza nieczęsto sięga po teksty powstałe na bazie odmiennych niż duńskie doświadczeń i tradycji kulturowych. Wśród powodów podawanych przez wydawnictwa są konieczność liczenia się z preferencjami odbiorców i niewystarczający poziom językowy (sic!) manuskryptów dostarczanych przez pisarzy imigracyjnych. Wyjątkiem od reguły „niewidoczności” w duńskim obiegu literackim jest twórczość piszącej po duńsku, a pochodzącej z Krakowa poetki i powieściopisarki Janiny Katz, której tomik *Pisane po polsku* został w zeszłym roku nominowany do prestiżowej Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej – jako reprezentujący literaturę Danii. Zastanawiający wydaje się jednakże fakt, że również samo pojęcie „literatura imigracyjna” nie trafiło ani na literackie salony, ani w akademickie progi – w odróżnieniu od Szwecji i Norwegii, które mogą pochwalić się poczytnymi autorami z imigranckim zapleczem oraz tradycją badawczą eksplorującą to zagadnienie. Marie Hvid Damborg, autorka unikatowego w duńskim kontekście opracowania dotyczącego tego zakresu, wyjaśnia, że Duńczycy nie traktują serio tekstów literackich imigranckich pisarzy, kwalifikując je jako literaturę drugiego rzędu, jako „takie tam historie ich życia”. Wymiarem, który ztraca +

się w deprecjonowaniu wartości literatury pisanej w Danii przez nie-Duńczyków, jest chociażby możliwość przejrzenia się w lustrze innej kultury, innego sposobu widzenia świata – konfrontacja, która mogłaby podminować i zaburzyć pielęgnowany od dziesięcioleci autoportret, i na którą poddani królowej Małgorzaty II nie są gotowi. W dodatku, jeśli emigranci pojawiają się w duńskiej literaturze autorstwa etnicznych Duńczyków, to najczęściej jako postaci drugoplanowe.

Również przeszłość kolonialna Danii, zwłaszcza ta związana z tak zwanymi koloniami tropikalnymi, nie wybrzmiewa jak dotąd zbyt wieloma głosami w rodzimej literaturze. W latach 40. ubiegłego wieku nostalgiczną podróż do miejsc, w których „przez niemal 200 lat powiewała Dannebrog [duńska flaga, przyp. S.I.S.]”, odbywa Sophie Petersen, popularna w swoich czasach podróżniczka, autorka i prelegentka. Jej relacja z onegdaj kontrolowanego przez Duńczyków Złotego Wybrzeża oparta jest na strategiach narracyjnych wskazanych przez Kim Su Rasmussena w kontekście wypierania treści niewygodnych dla mitologii narodowej. Charakteryzuje ją zatem tęsknota za czasami chwały i terytorialnej ekspansji Duńczyków, rodzaj „postkolonialnej melancholii” (wyrażonej np. poszukiwaniem śladów żywotności „imienia Danii” czy podkreślaniem „tragicznej” historii „utrąty” kolonii, które w rzeczywistości, jako przedsięwzięcia nierentowne, zostały sprzedane), połączone z apologetycznym stosunkiem do poczynań jej rodaków na zajmowanych terenach. Petersen pisze: „Zawsze rządaliśmy z łagodnością i humanitaryzmem, w rozumieniu owych pojęć w tamtych czasach, a motywem przewodnim charakteryzującym całą naszą historię kolonialną jest dążenie duńskiego umysłu do równego traktowania wszystkich, niezależnie od narodowości i rasy”, dając wyraz duńskie-

mu samopostrzeganiu. Handel niewolnikami i sposób ich traktowania podróżniczka relatywizuje, wskazując, że inne nacje obchodziły się z nimi gorzej, jak również przyłączając się do zachodnioeuropejskiej strategii tłumaczenia niewolnictwa koniecznością „zaopiekowania się” społecznościami opóźnionymi w projekcie cywilizacyjnym. Przeciw takiej tradycji pisze Thorkild Hansen, znany polskiemu czytelnikowi z powieści *Arabia Felix* i Jens Munk, autor wyróżnionej Nagrodą Literacką Rady Nordyckiej (1971) trylogii o niewolnikach. Podejmuje w niej próbę dekonstrukcji obrazu Duńczyków jako narodu, który zawsze kierował się sprawiedliwością i humanitarnym podejściem oraz działał z wyższych pobudek. Tym samym usiłuje przywrócić duńskiej pamięci zbiorowej wielowymiarowe oblicze rodzimego kolonializmu. Przede wszystkim nazywa duńskie przemilczenia w sposób eksplicytny. Rzeczowo (jego trylogia ma hybrydyczną formę wielogłosowej powieści dokumentalnej), ale także często stosując ironię jako środek stylistyczny, rozmontowuje duńskie samozadowolenie i dobre samopoczucie jako narodu, który nie ma na swoim sumieniu grzechów kolonializmu i jest szczególnie wyczulony na krzywdę słabszych. Ten ostatni wątek podejmuje również literatura z ostatniego dziesięciolecia, jak na przykład trylogia afrykańska Jakoba Ejersbo, który bez narodowych sentymentów rozprawia się z duńskim (i szwedzkim) „przemysłem humanitarnym” jako w istocie cyniczną maszyną bogacenia się skandynawskich „dobroczyńców”. Również i ta wiedza o patologiami tam, gdzie „niebo jak wysoko, a Europa daleko”, jak to wyraził jeden z XVIII-wiecznych duńskich kolonizatorów, zdaje się daleka od powszechności – w kraju, który szczyci się wysokimi nakładami na organizacje na rzecz rozwoju krajów Trzeciego Świata i między innymi na tym buduje swoją międzynarodową markę.

Za duńską „zmową (prze)milczenia” zdają się stać świadome wyparcie i lęk przed konfrontacją z niewygodnymi elementami własnej historii, pozostającymi w sprzeczności z mitologią narodową Duńczyków, lęk przed pojawieniem się (potencjalnie) niebezpiecznej kontrnarracji, grożącej dezintegracją sprawdzonych struktur i wartości uznanych za rdzenne i dlatego otaczanych szczególną ochroną. W społeczeństwie, w którym duńskość postrzegana jest w sposób organicz-

ny, „obcemu” nadal trudno jest przemówić pełnym głosem. Współczesne niedostrzeżenie walorów doświadczeń wynikających z odmiennych tradycji kulturowych odczytać można jako desperacką – w płynnym i hybrydycznym świecie – chęć zachowania duńskiego „kaczego stawu” w stanie możliwie niezmiennym, bez ryzykownej próby otwarcia na Andersenowskie łabędzie, które przecież czasami się nad nim wykluwają. ●

fot. Marek Wasilewski
[s. 46, 51]

